№ 16. Warszawa, dnia 8 (20) Kwietnia 1878 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Rozdział XIX.

Przez czas podróży Berek ciągle się wypytywał o najdrobniejsze szczegóły dotyczące Mikłockich, o stosunkach Franka z niemi i widocznie objaśnienia mu się podobały, bo zacierał ręce i co chwila szarpiąc Franka powtarzał: interes będzie güt, auf meine munes, jakem Berek!

Kiedy stanęli na miejscu, Berek pojechał dalej obiecując powrót za pół godziny. Franek poskoczył do pomieszkania, i z wielkim swoim podziwem usłyszał w sieni jeszcze głośne chrapanie. Za wejściem Frania krzątała się około kuchni, Klarka siedziała przy oknie zajęta robotą, a na łóżku spała pani Mikłocka jak za najlepszych czasów. Ze stukiem drzwi chrapnęła silniej jakby z żalu że jej przerwano i spojrzała na Franka. Klarka poskoczyła do matki z uwagą na niewłaściwość tak silnego chrapania, pani Mikłocka obruszyła się dowodząc, że może ogłuchła w nagłej chorobie, bo nic a nic chrapania swego nie słyszała.

— Mama przyszła do siebie, rzekła Klarka zwracając się do Franka, i jest znacznie lepiej ale bardzo osłabiona...

— A ja wszystkim powiedziałem że starsza pani umarła.

— Jakże mogłeś... ale komu to powiedziałeś?

— Wszystkim co u państwa bywali a panu Mieczysławowi najpierw...

— I cóż na to powiedział?

— Ej! nawet nie zważał, tylko się wypytywał o komornika i czy państwo na prawdę tak podupadli.

Klarka zaczerwieniła się, oczy zapałały oburzeniem, ale po chwili uspokoiła się i z uwagą słuchała dalszego opowiadania o skutku zrobionej wyprawy. Na wiadomość o zwrocie długu przez Stanisława ucieszyła się naturalnie, jak wygłodzony na widok sutej zastawy; powtórzyła wiadomość tę Frani, a pani Mikłocka szepnęła, że wuj zawsze mówił, że kto płaci to traci i że głupi daje a mądry bierze. Ofiary Anzelma i Bonawentury zmieszały ją a nawet rozgniewały, gdy jednak Franek dodał, że oba bardzo się odebraną wiadomością zmartwili, że przyrzekli bytność swoją przed wieczorem, i że Bonawentura aż zawołał, a to kazus paskudeus! Klary oblicze cokolwiek się wyjaśniło.

— Kazus paskudeus, odezwała się pani Mikłocka, to zawołał także pan Hess, gdy wuj nogę zwichnął. O! pan Hess to był bardzo rozumny człowiek, dopóki wsi nie stracił razem z głową.

Najbardziej jednak Klarka wzruszyła się opowiadaniem Franka o spotkaniu się z Antonim i gotowości jego do odstąpienia całego swego mieszkania dla ich użytku.

— Jakież to serce poczciwe u tego człowieka! zawołała!

Frani łzy w oczach stanęły, Franek po obu pannach przerzucił spojrzenie, żałując w duszy że nie mógł naśladować Antoniego. Pani Mikłocka mruknęła:

— Serce to jak ostroga, mówił zawsze ksiądz kanonik, bo pan Hess to nosił ostrogi kiedy do nas konno przyjeżdżał.

— Potem zaszedłem do Berka, mówił dalej Franek.

— Czy miałeś do niego jaki interes?

— Tak proszę panienki.

— I jakiż to? zapytała Klarka nie podnosząc ócz od roboty.

Franek przestąpił z nogi na nogę i obracając czapkę w ręku do której przykuł spojrzenie, odrzekł po małej chwili wielce nieśmiałym głosem:

— Chciałem odebrać składkę z kasy oszczędności, ale że na to trzebaby długo czekać, więc poszedłem prosić Berka aby mi zaliczył...

— A do czegóż ci te pieniądze potrzebne?

— Chciałem niemi... Franek zawahał się i nagle umilkł.

— Cóż chciałeś za nie zrobić? zapytała Klarka spoglądając z zajęciem na Franka.

Młodzieniec pokraśniał, przerzucał oczami z Klarki na Franię, z tej na czapkę uporczywie w ręku obracaną, wreszcie na ponowione zapytanie odrzekł cichym, nieśmiałym głosem:

— Powiedziałbym... ale jakoś nie śmiem... lękam się, czy się panie na mnie nie pogniewają?

— My? A to z jakiego powodu? zapytała Klarka. Mów Franku otwarcie, poradzimy ci, bo za twoją dla nas grzeczność godzien jesteś naszej życzliwości.

— Ej! moja grzeczność to mała rzecz, chciałem tylko w zmartwieniu jakie na panie spadło coś poradzić. Pan Mieczysław...

Franek urwał i ścisnął pięść mimowoli. Rzecz ta nie uszła uwagi panien. Po chwili Franek mówił dalej:

— Pan Antoni to poczciwy człowiek, tamci starsi panowie ujdą także ludziska, ale jakoś niepienięźni, a tu z komornikiem bez pieniędzy nic nie poradzi.

— To prawda, odezwała się Klarka, ale my od tych panów nie możemy wymagać pomocy i same sobie zaradzimy. Wreszcie lada chwila spodziewamy się przysyłki pieniędzy należących się oddawna...

— Ah! to Bogu dzięki, przerwał Franek z radością. Ja też chciałem odebrać przez Berka swoją z kasy należność i pożyczyć je paniom, żeby zmartwienie z komornikiem zepchnąć z głowy...

Klarka ze zdziwieniem spojrzała na Franka, zarumieniła się i po pewnej dopiero chwili wyciągając rękę do młodzieńca, rzekła:

— Bardzo poczciwym jesteś mój Franku. Za twoją dla nas życzliwość wdzięczni ci jesteśmy niewymownie, ale z ofiary twej korzystać nie możemy, bo mając czterysta złotych do rozporządzenia łatwo sobie damy radę w naszym kłopocie.

Franek stał ze spuszczonemi oczami, kręcił czapką i zamyślił się. Pomoc starych kawalerów przyjęto bez wahania, stanowiła ona małą kwotę, cząstkę dochodów nie rujnującą ich, on oddawał wszystko co miał, co zebrał z wielkiem staraniem a oszczędził z niezmiernym wysiłkiem i odrzucono ją bez chwilki prawie namysłu. Dlaczego to zrobiono, nie umiał sobie wytłomaczyć. Ofiarą podobną, według jego przekonania, niktby nie pogardził, dlaczegóż jej nie przyjęła ta, dla której gotów był na wszelkie ze swej strony poświęcenie. Przypuścił zatem, że obawa narażenia go na jaką stratę lub szkodę była jedynym tego powodem. Po chwili też milczenia, rzekł:

— Jeżeli paniom zaraz pieniądze moje niepotrzebne, to się na później przydadzą, a jak przyjdą pocztą to je odbiorę...

— Jeszcze ci raz dziękujemy za twoją życzliwość i w razie potrzeby nie omieszkamy z niej skorzystać, odrzekła Klarka, dziś jednak damy sobie radę, a jak odbierzemy ze wsi należytość, to usuniemy wszystkie nasze interesa. Pieniądze też zostaw w kasie oszczędności.

Potem skinieniem głowy jak królowa żegnająca gościa, dała Frankowi do zrozumienia że może się oddalić. Dobroć jego ubodła ją do żywego, widziała w niej miłość, której wyjawienia tak się bała, zwłaszcza dziś, gdy pan Anzelm ma przyjść i zapewne dopełnić formalnego oświadczenia. Mieczysława bowiem po katastrofie wykrytego bankructwa, uznała za zupełnie straconego i całą nadzieję lepszej przyszłości położyła jedynie w starym kawalerze, nie wątpiąc, że jeżeli tylko przyjdzie, to się z sideł nie wyplącze, choćby przyszło samej się oświadczyć. Że zaś przyjdzie przyrzekłszy bytność, o tem nie wątpiła, znając jego słowność w każdej obietnicy. Przed opuszczeniem jednak mieszkania Mikłockich, Franek zapowiedział odwiedziny Berka, w jakimś niewiadomym mu interesie. Klarka na wiadomość tę niewielką zwróciła uwagę, bo w tej chwili przyszło jej do myśli pytanie, czy pożycie z Anzelmem będzie dla niej podobne i czy w małżeństwie z nim uzyska spokój tak upragniony. Oparta o rękę czołem dumała tak chwilkę niemałą... mimowoli wzdrygnęła się, westchnęła i zwracając do siostry po wyjściu Franka rzekła:

— Ciekawam bardzo co to może być za interes? Z żydem sprawa to bardzo ślizga.

— Z żydem to szczęście, mawiał wuj, mruknęła pani Mikłocka. Pan Hess ciągle z żydem grał w loteryą, bez żyda nie ruszył się nigdzie, ale nigdy nic nie wygrał, przegrał wieś i poszedł z torbami.

Przed oknami zaturkotało, zatrzymała się bryczka z panem Berkiem i Franek niebawem wprowadził go do mieszkania zawiadamiając, że pani Mikocka żyje.

— Przepraszam, odezwał się Berek krygując i o ile mogąc udając bardzo ucywilizowanego. Przepraszam, ale niech to będzie bez urazy, co ja przychodzę w takiem państwa nieszczęściu...

Siadając na podsuniętem przez Franka krześle, szybko ale z wielką uwagą przerzucił spojrzenie po leżących gratach na kupie. Poruszył ramionami, coś zamamrotał i zwracając się do Klarki mówił dalej:

— Panna dobrodziejka to musi pewno być panna Klara, co mi pan Skowroński tyle nagadał dobrego o niej. Co to za przyjaciel, jaka to życzliwość, to już na świecie drugiej takiej nie znajdzie. Nu, ale tu nie o to idzie, tu idzie o interes. Jabym go nigdy nie wypuścił z ręki, ale nie lubię dwóch ogonów za jedną srokę ciągnąć. Niech więc interes choć dobry idzie do ludzi co ich kocha pan Skowroński, mój przyjaciel, co jabym mu krocie oddał do ręki.

— I cóż to za interes? zapytała Klarka.

Wszyscy zwrócili oczy z wielką ciekawością na Berka, nawet pani Mikłocka wysunęła głowę z pod kołdry i zaczęła nadsłuchiwać. Berek mówił dalej:

— Bez urazy panny dobrodziejki, ja żyd to po żydowsku każdy interes robię i muszę wszystko wiedzieć bez żadnej skrytości, i czarne i białe i farbowane i nicowane, gdzie dół a gdzie równa droga żeby nie upaść i kark nie skręcić.

— Przezorność bardzo właściwa, potwierdziła Klarka, ale cóż to za interes co pan Berek ma go przedstawić?

Klarka spojrzała na Berka z uśmiechem, Berek uśmiechnął się także, przymknął oczy i kręcąc głową zawołał:

— Aj! bez urazy, panna dobrodziejka do interesu bardzo wielka przeszkoda. Przy niej człowiek mięknie jak wosk a to interes psuje.

Panny rozśmiały się a nawet Franek, pani Mikłocka lepiej głowę wyciągnęła. Berka to widocznie zadowolniło.

— Niech więc to będzie bez urazy panny dobrodziejki, mówił dalej, ale ja pana Skowrońskiego o wszystko wypytywałem, i wiem tak wszystko jakby komornik ze mną miał sprawę.

— Dobrze, dobrze, odezwała się Klarka z niecierpliwością, ale mówmy o interesie.

— Zaraz go powiem, tylko niech panna dobrodziejka powie mi, co zrobi z pieniędzmi co przyniósł pan Skowroński?

— Naturalnie, zapłacimy komornika....

— A co będzie dalej?

— Cóż to pana Berka może obchodzić?

— Jakto co mnie ma obchodzić? Kiedy ja przyszedłem z interesem to muszę wiedzieć co jest i co będzie? Przy interesie trzeba wszystko znać żeby wiedzieć jak się kierować.

— Kiedy tak koniecznie, to powiem panu Berkowi, że mając dach nad sobą, będziemy dalej pracować jak pracowałyśmy.

— I znowu za kwartał, za dwa, będzie kłopot i komornik, a przyjaciele nie dadzą na wykupno, bo takie ratowanie prędko się naprzykrzy nawet ojcu i matce.

— Rozwiniemy lepiej naszą szwalnię...

— A dlaczego, bez urazy, przerwał Berek, teraz panny dobrodziejki nie rozwinęły jej tak, żeby nie było komornika? Daj panna pokój, dziś zarobek z igły to jak rola żydowska co ziarna nie daje. Było źle i będzie niedobrze, a u nas to taki zwyczaj, że jak jedno nie idzie to człowiek probuje, trzeciego, dziesiątego, aż trafi na swój interes co go stawia na nogi. Niech panny dobrodziejki tak zrobią jak żydzi, bo kto ma czterysta złotych to wiele zrobić może, na moje sumienie.

— Na nie rachować nie można, odezwała się Klara, bo jak zapłacimy komornika to nam mało co zostanie.

— A na co płacić komornika?

— Przecież mebli naszych nie damy zmarnować.

— Aj! meble, meble, co mi to za wielkie rzeczy! zawołał Berek zrywając się z siedzenia i obchodząc kupę nagromadzonych gratów, macając je i oglądając mówił dalej: wysiedziane, wytarte spróchniałe, więcej w nich molów jak wyściełki. To wszystko i sto złotych niewarte, na moje sumienie, to co tu dbać o taką starzyznę. Niech je sobie komornik zabierze, starego młodym nie zrobi.

Pani Mikłocka zobaczywszy Berka tuż przy sobie, jak okiem znawcy przeglądał rupiecie, podniosła się do połowy w łóżku i korzystając z ogólnego milczenia rzekła:

— Pan Hess to zawsze mówił, że z młodego to starym łatwo zostać.

— Pan Hess, przerwał Berek zatrzymując się tuż przy samej pani Mikłockiej. Co to za jeden ten pan Hess?

— Pan Hess to był przyjacielem mego wuja, odrzekła pani Mikłocka, na co panny nie zważały gdyż zajęte były cichą rozmową, zapewne rozważając uwagę zrobioną przez Berka o wartości mebli.

— To zapewne mama dobrodziejka? odezwał się Berek. Kłaniam wielmożnej pani, ale ten pan Hess co on za interes prowadził? Musiał mieć głowę....

— O tak, potwierdziła pani Mikłocka, taką miał wielką głowę, że żadnej czapki nie mógł w sklepie dobrać tylko musiano mu robić na obstalunek.

— Aj! jak to rozumnie pani mama dobrodziejka powiedziała. Już ja teraz wiem, że ten pan Hess był głupi jak baran.

— Jak baran, jak baran! chwiejąc głową powtórzyła pani Mikłocka głosem jakby bolejącym.

— Aj! co to za delikatny rozum u mamy dobrodziejki.

— U nas był baran przy stajni, odezwała się pani Mikłocka, co tak bił rogami, że raz samego księdza kanonika wpakował do rowu.

— Księdza kanonika, duchowną osobę! Aj to strach, ja choć żyd a przed tak godną osobą zawsze czapkę zdejmuję. No! to ten baran był bardzo ordynarny.

— Miał wełnisko ale grube, jak go strzygli to beczał i zawsze rogami mierzył ku mnie.

— Czy i wielmożną mamę w rów wpakował?

— Ej! czekałabym na to, odrzekła pani Mikłocka z poważnem poruszeniem ramion, sama wprzód w rów wskoczyłam nim mnie rogami dosięgnął.

— Aj! jak to rozumnie, dosyć rowu po co było na rogi czekać?

Rozmowa ta byłaby się zapewne nieprędko skończyła, bo pani Mikłocka w coraz lepszy wpadała zapał, ale Klarka naradziwszy się z Franią przywołała Berka, przypominając interes z jakim przyjechał.

— To rzecz bardzo prosta, odezwał się Berek, zabierając miejsce przy Klarce. Ja radzę, na moją uczciwość, wszystkie te graty zostawić komornikowi, niech je przeda, to już z gospodarzem nie będzie żadnego interesu, a z pieniędzmi obrócić inaczej.

— Ale jak, to najważniejsze?

— No, ja powiem pannie dobrodziejce. Moja krewna Ryfka kupiła na wiosnę galar do kąpieli, ale to nie dla żydówki interes. Musi trzymać kasyerkę, bo ktoby na żydowskim galarze chciał się kąpać? Musi trzymać do dozoru, żeby galar raz ciągnąć do lądu to znów go pchać na wodę, a to wszystko wiele kosztuje i co zarobi to prawie wszystko zabierają pomocnicy, bo co za okiem się dzieje to wszystko dwa razy więcej kosztuje a jak za dwoma to cztery razy. Otóż ja byłem teraz u niej i poradziłem żeby ten galar przedała, niech panny dobrodziejki kupią go...

— My galar mamy kupić! zawołały panny ze śmiechem, co też Berkowi przyszło do głowy. Co z Ryfką się dzieje, to z nami to samo się stanie.

— Za co ma się tak stać, kiedy wszystko będzie inaczej, a to interes dobry, lepszy jak z igłą, większy da procent jak sto igieł.

— A to jakim sposobem?

— To prosta rzecz. Ja wiem co panny dobrodziejki takie delikatne, edukowane i z takiej wielkiej familii, to galaru nie mogą ani pchać na wodę ani ciągnąć do lądu, ale pan Skowroński to się zna na tem dobrze, a panny dobrodziejki będą kasierkami. Co więc u Ryfki szło na stronę to tu pójdzie do ręki...

— Być to może, przerwała Klarka, ale pan.... Skowroński ma miejsce w omnibusie bardzo podobno korzystne...

— Tu będzie większa korzyść, bo pan Skowroński kupi z pannami dobrodziejkami galar ten na współkę, a resztę co braknie to wypłacać się będzie ratami a ja poręczę. Pan Skowroński uczciwy, życzliwy dla państwa, to wiem że w niczem krzywdy nie zrobi. Z takim człowiekiem jak pan Skowroński to jabym nawet dom na współkę kupił. No! powiedz panie Skowroński, pan znasz się na tem, czy to nie dobry interes?

— Zły nie jest, odrzekł Franek, przy pracy i staraniu to można mieć głowę spokojną i dorobić się czegoś.

(*d. c. n.*)

EPISTOLA

dla J. K. G.

Posyłam ci słów kilka, srebrnowłosy!
Posyłam piosnkę — choć tak dziwne losy...
Choć tak na świecie smutno żyć. O Boże!
I któż nas wspomoże?

* * *

Posyłam pieśń serdeczną — i za to życzenie,
Nie proszę o nic więcej tylko... o wspomnienie,
Żem chciał każdemu wianki wić — z kwiatów wiosennych,
Żem pragnął.....
.....Ideałów znikł orszak promiennych.
Serce bije spokojniej, a w myśli sokoły,
Patrząc z ziemi tam do gwiazd, szepczą: gdzież Anioły?

* * *

Finis! Zorza północna w dali się tak pali...
Jam jest dziecięciem wieku — nad moją kołyską
Pojawiło się dziwne, tajemne zjawisko.
Szepnęło! idź! wierz! kochaj... O poezyo droga!
Przez ciernie i płomienie prowadź mnie do Boga.

Miron.

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów“.)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Wolność prasy została ogłoszoną w Austryi d. 20 marca 1848 r. i tegoż dnia rano ukazał się pierwszy numer dziennika *Konstytucya* p. Leopolda Haefner. Ten pan Haefner był kapelusznikiem, on to chcąc nadać kapeluszom swoim paryzkie pochodzenie, wymyślił sobie firmę *Juliusz Janin w Paryżu*. Pewnie znakomitemu krytykowi nigdy nie przyszło do głowy, że nazwisko jego figuruje na kapeluszach wszystkich zamożnych poddanych cesarstwa austryackiego, którzy mieli go zapewnie za jakiegoś sławnego kapelusznika.

Konstytucya która pojawiła się tak nagle i niespodziewanie, zyskała od razu wielkie powodzenie, dzięki sprzyjającym okolicznościom i niezaprzeczonemu talentowi redaktora. To też odbijała bajeczną liczbę egzemplarzy.

Wkrótce potem pojawiła się *Gazeta Austryacka* a dalej z kolei *Szatan*, *Sztandar postępu*, *Przyjaciel ludu*, *Młoda Austrya* i w. i. W przeciągu roku powstało 217 dzienników a między niemi *Prasa* która wkrótce nabrała wielkiego znaczenia i powagi, dzięki prędkim i pewnym wiadomościom jakich umiała zasięgnąć i podawała w swych szpaltach.

Założycielem *Prasy* jest sławny piekarz Zang znany dobrze w Paryżu, gdzie przy ulicy Richelieu przedawał wyborne pieczywo wiedeńskie. Zang poznał się w Paryżu z p. Emilem Girardin, wynalazcą tanich gazet i zachęcony jego przykładem postanowił zacząć karmić, już nie ciało, ale ducha swych współziomków. Pojechał do Wiednia; zapewnił złote góry dwom głównym redaktorom *Gazety Austryackiej*, i dziennik jego zyskał od razu ogromne i natychmiastowe powodzenie; nazajutrz zaraz po pojawieniu się nietylko pokrywała koszta wydawnictwa, ale ogromne zapewniała zyski: odbijała 150,000 egzemplarzy. Łatwo wystawić sobie gniew i przerażenie współzawodników; przez złość i zawiść rozpuszczono że Zang ma tajemne źródło dochodów; było to niecne oszczerstwo, Zang nie potrzebował subsydyów,, dość mu było założyć w Wiedniu prasę amerykańską.

Nastała reakcya; zamknięto wszystkie liberalne dzienniki; nie wolno było nawet używać w druku wyrazów konstytucya, demokracya, rewolucya. Nie istniała nawet prasa zachowawcza ale jedynie urzędowa, redagowana przez urzędników z ministerstwa. Nareszcie represya zwolniała; dla prasy austryackiej nastały złote czasy. Wtedy gabinet p. Zang, szczęśliwego dyrektora *Pressy* był jakby w oblężeniu przez piszących pragnących docisnąć się do tego zaszczytu aby artykuły ich drukował w swojej gazecie. Wówczas także jeden z młodych i bardzo zdolnych redaktorów *Pressy*, p. Etienne, poróżnił się z p. Zang, opuścił jego redakcyą i w tydzień później mury Wiednia pokryte były afiszami, ogłaszającemi nową wielką gazetę codzienną p. n. *Nowa wolna prasa*. Był to zgubny cios dla p. Zang, tytuł pociągnął publiczność, i wkrótce dzięki zdolnościom i, że tak powiem, amerykańskiej zmyślności redaktora, *Nowa prasa* zdetronowała starą. Nowy dziennik urządzony na sposób *Times'a* wyrobił sobie doskonałe źródła pewnych wiadomości, a przed biórem jego redakcyi dzień i noc stały paradne powozy do rozporządzenia redaktorów i współpracowników. Pan Etienne był zaciętym wrogiem Napoleona III i jego dynastyi, i z tej osobistej niechęci stał się gorącym stronnikiem Prus w 1870 r.

Prussy podczas wojny z Francyą kupiły sobie przyjaźń kilku dzienników austryackich, pojmując dobrze jak wielkie mogą im oddać usługi, a i po wojnie znaczne na ten cel wyznaczono sumy z „funduszu gadzinowego“ urządzono w Wiedniu filię swego tak zwanego biora „ducha publicznego“ pod zwierzchnictwem jednego ze swoich agentów, który nareszcie dwa lata temu wydalony został z Austryi.

W Wiedniu dziennikarstwo prowadzi do zbogacenia się, a bogactwo jak zwykle sprowadza i zaszczyty. Eksploatuje się tu gazetę jakby fabrykę szuwaksu lub czekolady, a maszyny drukarskie zamieniają się w maszyny do bicia monety; od czasu jak wynaleziono sposób zamieniania myśli na kruszec, dziennik stał się kopalnią obejmującą różne złotodajne pokłady. Można corocznie z łatwością wydobyć z niej milion. Czego alchemicy daremnie szukali na dnie swoich tygli, dziennikarze wiedeńscy umieli znaleźć w głębi swoich kałamarzy. Proces Placht'a wykazał że samym dziennikom wypłacono 35,000 florenów (21,000 rs.)

Summy wypłacane dziennikom dla kupienia ich poparcia lub milczenia, ogromnych dochodzą rozmiarów. Gdy Bank angielski puszczał w obieg losy tureckie, zapłacił *Prasie* i *Nowej Prasie* za milczenie po 25,000 florenów; *Gazeta przedmieściowa* otrzymała 16,000 fl. *Fremdenblatt* 12,000 fl. *Tagblatt*, który bardzo jest rozpowszechniony w Wiedniu, za parę artykułów gorącego poparcia, dostał 32,000 florenów. Co razem wynosi 110,000 fl. czyli 66 000 rs.

Mała prasa wiedeńska długo bardzo stanowiła nad brzegami Dunaju prawdziwy rodzaj *camorry*, i dla niej to wynaleziono nader trafną nazwę „prasy rewolwerowej“. Dzienniczki te mają swoich szpiegów i tajnych agentów, prawdziwych faktorów skandalu i zgorszenia. „Płać, a będziesz szanowany“ oto zasada tego niecnego dziennikarstwa, które jednem pociągnięciem pióra podnosi lub strąca w błoto, i czatuje na swe ofiary jakby z zasadzki w lesie.

Pewnego razu dyrektor jednej z wielkich kampanii kolei żelaznej, około którego jeden z redaktorów tej rewolwerowej prasy dawno uwijał się daremnie, odebrał pod opaską dziennik opowiadający o nim jakąś szkaradną historyą, której dalszy ciąg zapowiadano w następnym numerze, dyrektor zapłacił i nie napisano ani słówka. Inny dyrektor kolei poradził sobie inaczej: gdy jeden z takich dziennikarzy przyniósł mu korektę nadzwyczaj zniesławiającego artykułu, odważnie wyrzucił go z nim za drzwi, dodając iż jeśli kiedykolwiek odważy się co bądź wydrukować o nim, każe go zbić na ulicy na leśne jabłko; groźba poskutkowała.

W r. 1871 dyrektor *Gazety dla szlachty*, przyszedł do radcy dworu Eichler'a z hańbiącym, przeciw niemu wymierzonym artykułem, żądając 1000 fl. za nie wydrukowanie go a nadto 10000 fl. rocznej subwencyi dla *Gazety*. Pan Eichler zaskarżył go do sądu i dyrektor szlachetnej gazety został skazany na cztery miesiące więzienia.

Biada wszystkim debiutantom, czy to w świecie literackim lub artystycznym, czy na scenie teatralnej, jeśli dość wcześnie nie złożą haraczu w kasach tych piśmideł. Nie raz sami ich dyrektorowie udają się do rodziców, krewnych lub samych debiutantek, układając się po przyjacielsku o wysokość kupionych pochwał. Wielu artystów opłaca miesięcznie pewną umówioną sumę dla zapewnienia sobie przychylności tych dzienników.

Według urzędowych obliczeń, wychodziło w Wiedniu w roku 1860, 103 dzienniki; w 1865, 182, w 1870, 258, a w 1873 r. 355 dzienników i gazet.

Urzędowym organem rządu jest *Korespondencya polityczna*; jej korespondentem z Berlina jest dość ważna figura, pan Ludwik Schneider. On to dostarcza *Korespondencyi* listów nietylko z Berlina ale i z Petersburga, gdyż jako przyboczny lektor króla pruskiego, ma sposobność zadobycia wielu ważnych, poufnych wiadomości. Pan Schneider odbiera i przegląda codziennie wszystkie gazety i zaznacza ołówkiem artykuły, które uzna godnemi dojścia do wiadomości cesarza Wilhelma. Dawniej, za czasów *Gazety Spenera*, cesarz niemiecki kazał czytywać ją

sobie od początku do końca, dziś zaszczytu tego dostępuje *Fremdenblatt* (Gazeta cudzoziemska). W roku zeszłym *Berliner Tagblatt* (Berlińska gazeta codzienna) ogłosiła w odcinku powieść Spielhagen'a p. n. *Fotop*; cesarz Wilhelm kazał p. Schneider aby mu codzień czytał ten romans, który miał szczęście zajmować J. C. Mość i tylko samo zakończenie się nie podobało. Pan Schneider zaraz zawiadomił o tem autora, i ten niezwłocznie dorobił inne zakończenie, które *Tagblatt* ogłosił na wielkie zadziwienie czytelników, którzy byli pewni iż wszyscy bohaterowie powieści już zakończyli książkowy swój żywot.

Tagblatt redagowany jest na wzór dzienników amerykańskich; jest w nim zawsze nadzwyczaj wiele bardzo efektownych depesz telegraficznych. Pewien bankier sprzedał go w r. 1867 za 12,000 florenów, a w 1872 odkupił napowrót na rzecz pewnego stowarzyszenia, za 500,000 fl. Dyrektor jego, pan Szeps, wystawił sobie przepyszny pałac obok pałacu księcia Lichtensteina. Część zagraniczną obrabia w nim p. Lanser, który długo przebywał na Wschodzie, w Hiszpanii, we Włoszech i we Francyi. Jeden z redaktorów *Tagblatt'u*, który z tylu innymi stał się ofiarą *krachu*, kazał akcyami i obligacyami okleić całe swe bióro, nietylko ściany ale i sufity; w miesiącu kwietniu 1873 r. przedstawiały one jeszcze wartość 1,300,000 fl. dziś warte tyle co ważą jako papier.

Korespondentem *Tagblatt'u* przy armii ottomańskiej był pewien oficer austryacki, pozostający w nader przyjaznych stosunkach z Osmanem paszą, i dla tego dziennik ten miewał pod tym względem dobre bardzo wiadomości.

W Wiedniu wychodzi dwa dzienniki francuzkie: *Messager de Vienne*, i *le Danube*. *Messager de Vienne* jest jakby dalszym ciągiem *Messager d'Orient* i redagowany jest z talentem przez p. Bronisława Wołowskiego, kuzyna zmarłego w Paryżu senatora. Dziennik ten wziął sobie za zadanie zapoznawanie Zachodu z literaturą ludów wschodnich. Do każdego numeru dołączony jest dodatek wyłącznie temu celowi przeznaczony, i redagowany przez bardzo kompletnych pisarzy.

Co do *le Danube* ten jest w swoim rodzaju *Figarem* z nad Dunaju.

Wiele także wychodzi w Wiedniu dzienników humorystycznych i illustrowanych; nie brak w nich dowcipu i werwy. Do najcelniejszych pism satyrycznych, pod względem humoru i oryginalności rysunku, należy *Kikeriki*. Gdzie tylko znajduje się jakiś Wiedeńczyk, w Ameryce, w Turcyi, wszędzie przychodzi *Kikeriki*. Dyrektorem jego jest pan Berg, jeden z najpłodniejszych i najpopularniejszych autorów dramatycznych wiedeńskich.

Presse, *Neue Presse*, *Fremdeblatt*, *Tagblatt* i *Extrablatt*, wychodzą dwa razy na dzień. Ważniejszem jest zawsze wydanie rańsze, obejmujące co najmniej ośm stronic. Odcinek daje się w wydaniu wieczornem, w porannem zaś miejsce jego zajmują rozmaite artykuły naukowe, opisy podróży i krytyki artystyczne i teatralne, pisane umiejętnie i starannie. Już to w ogóle daleko lepiej piszą w Wiedniu niż w Berlinie; dziennikarze austryaccy nie są tak pyszałkowato zarozumiali i tak lekceważący innych jak berlińscy; większość odznacza się uprzejmością obejścia i znajomością świata.

Wszystkie wielkie dzienniki wiedeńskie nie pomijają kwestyi przemysłowych, handlowych i ekonomicznych, za to kronika miejscowa i pogadanki zaledwie zaczynają wyłaniać się z pieluszek. W Wiedniu pół-światek nie odgrywa tak wielkiej roli jak w Paryżu, nie rozsiada się w jedwabiach i złocie, musi potulne przybierać pozory. Stara arystokracya wiernie stoi na straży, dumnie zagradza mu drogę, i tak w teatrze jak na przechadzkach, zdaje się mówić rozkazującym tonem: Ani kroku dalej!" Królowe zepsucia muszą przybierać mniej więcej przyzwoite pozory; nie wysuwać się zbytecznie, nie zwracać oczu nieprzystojnym zbytkiem.

Anonse i reklamy bardzo się rozwielmożniły w codziennych pismach wiedeńskich; przywdziewają one najrozmaitsze postacie i formy, przemawiają w najrozmaitsze sposoby. Jest w nich i pewna naiwność i jakby bezwiedny bezwstyd. „Jaka to szkoda, powiedział raz do mnie pewien Wiedeńczyk, że ludność nasza, tak dobra w gruncie, nie ma w sobie więcej poczucia moralnego."

Oto parę próbek ogłoszeń wyjętych z *Tagblatt*, *Fremdenblatt*, *Neue Presse*, etc.

Serce i rękę ofiaruje się bogatej damie, która chciałaby młodemu i pięknemu 22-letniemu studentowi, zapewnić możność kończenia nauk.

Zgłosić się do ekspedycyi dziennika. „Wiedeń 22."

Wiadomość dla pań.

Pewien pan bardzo dystyngowany, pragnie poznać się z damą dobrego tonu, która byłaby nieinteresowną. Napisać do ekspedycyi dziennika, pod adresem „D-r Paris, 534."

Niewiadomo który naród pierwszy powziął myśl zamienienia małżeństwa w kupno i handel, dość że zarówno w Wiedniu, jak Paryżu, Londynie i Berlinie, są kantory wyłącznie zajmujące się kojarzeniem małżeństw. Zawiadamiają przez pisma publiczne o przybyciu nowych kandydatów i kandydatek; podają wiek, kolor włosów, czystość i białość ich duszy i zębów, słodycz charakteru; obliczają fundusze, mnożą widoki i nadzieje. Oto na jakie to pokusy narażają zatwardziałych kawalerów.

Słuchajcie, panowie, słuchajcie!

Jestem młoda i ładna, średniego wzrostu, brunetka i chciałabym pójść za mąż w przyszłym karnawale. Posiadam 800 fl. kapitału i przymioty mogące uszczęśliwić mężczyznę. Jestem służącą, kogo to nie odstręcza, niech przyśle mi swoje warunki pod adresem... Najlepiej wolałabym strzelca węgierskiego. Listy można nadesłać do 3 grudnia.

Sierota pracowita, czynna, bez majątku, pragnie zamieszkać razem z jakim niemłodym panem; jeśliby się charaktery zgadzały, później mogłaby pójść za niego.

Panny na wydaniu.

U pana X jest wielki wybór panien na wydaniu, różnego wieku i stanu. Posag od 500 do 150,000 florenów. Jest także kilka panien bardzo bogatych, pragnących zawrzeć małżeństwo z miłości. Tajemnica zapewniona.

Bachaumont w jednym z fejletonów swoich, opisał nader dowcipnie urządzone niby w Wiedniu „bióro stręczeń panien na wydaniu." Jest to żart tylko ale zważywszy z jakiego to stanowiska traktują małżeństwo, oraz coraz więcej rozkrzewiający się w obyczajach amerykanizm, można mniemać że w niedalekiej przyszłości bióra podobne na dobre funkcyonować zaczną.

Tu autor przytacza kilkanaście ogłoszeń francuzkich, zamieszczanych zwykle na czwartej stronicy dzienników, w których najzabawniejszy jest styl i szyk wyrazów.

Tak więc dzienniki wnikające do kółek rodzinnych, nie tylko służą za pośredników między mężatkami a ich wielbicielami, ale zakłócają nawet spokój młodych dziewcząt. Jeżeli np. podoba się komuś młoda panna z uczciwego domu, będąca w loży z rodziną lub z matką, nic łatwiejszego jak zawiadomić ją o tem za pośrednictwem gazety. Oto przykład.

Le roi Carotte.

Młoda prześliczna blondynka, która była w sobotę na przedstawieniu *le Roi Carotte* w lila sukni, czarnym kapelusiku, na prawej ręce miała bransoletę a na lewej kilka porte-bonheur, zachwyciła swego sąsiada i ten prosi aby pozwoliła mu cieszyć się nadzieją, że ją jeszcze zobaczy i raczyła zawiadomić, czy zezwala mu na zaszczyt bliższego poznania. Oczekuję z niewymowną niecierpliwością odpowiedzi; niech mam szczęście odebrać kilka wierszy, pod adresem: B. E. B.

Ceramika Keramos była w Atenach tem czem dziś nasze ogrody publiczne. Tam pod cieniem drzew osłaniających grobowe kamienie, przechadzały się kobiety w lnianych tunikach, poowijane w peplum, jeżli młody Ateńczyk spotkał kobietę odpowiadającą jego ideałowi lub namiętności, kreślił jej nazwisko na murze ceramiki, a jeżli wybrana przyjmowała oświadczenie, przychodziła nazajutrz i stawała pod napisem. Cywilizacya nie zniosła ale tylko pewną zmianę zaprowadziła w systemie: w miejsce muru Ceramiki podstawiła czwartą stronicę dzienników.

Często bardzo najzabawniejsze z tych ogłoszeń wymyślane są przez żartownisiów bawiących się kosztem łatwowiernej publiczności, na dowód przytaczam następującą zupełnie autentyczną historyjkę:

Pewnego razu pan X. kazał wydrukować w *Tagblatt* następujące ogłoszenie: „Młoda panna z dobrej familii, tyranizowana przez rodziców, pragnie zostać wykradzioną przez jakiegoś dystyngowanego pana. Napisać do bióra gazety, pod literami K. V. i dołączyć swoją fotografią." Zgłosiła się znaczna liczba uprzejmych kawalerów gotowych spełnić życzenie tyranizowanej dziewicy, a między innymi był także list od pewnego oficera, w którym prosi, mniemanej panny, aby mu udzieliła objaśnień co do swego wieku i stosunku majątkowego. Pan X. udzielił mu ich więcej niż mógł żądać, i tak przez trzy miesiące pisywali do siebie najczulsze listy zamieniając w nich wyznania miłośne. Pan X. podpisywał się imieniem Julia Raz oficer przysłał swej lubej upoważnienie do wzięcia z księgarni Gerolda dwóch dzieł jego pióra: były to traktaty o artyleryi! Julia odwdzięczając się swemu artylerzyście za tak czuły upominek, poleciła mu aby przejechał przed oknami domu jej przyjaciółki. „Będę stać w oknie obok mego brata, pisała, ale nie wpatruj się we mnie zbyt długo, gdyż brat mój jest raptus i awanturnik, gotówby zbiedz na dół i zrobić jaką awanturę." W oznaczonym dniu i godzinie, pan X. poszedł do jednej z pań dobrze sobie znanych, i prosił żeby się zbliżyła do okna, gdyż właśnie ma przejeżdżać jeden z arcyksiążąt. Oficer nadjechał, spojrzał w okno z uśmiechem, lecz w tejże chwili pan X. odsunął piękną panią a sam przybrał strasznie nasrożoną minę.

Nazajutrz przychodzi nowy list od oficera, gorętszy i namiętniejszy jeszcze niż dawniejsze. „O! ubóstwiona kochanko! jakże w zupełności odpowiadasz memu ideałowi; tak, wykradnę cię i ożenię się z tobą! Ach! jakże ja cię kocham bezgranicznie!... Posełam ci dwa bilety na jutrzejsze przedstawienie Opery; będę siedział obok ciebie, porozumiemy się co do naszej ucieczki."

Pan X. ofiarował te bilety jednej ze znajomych pań, której córka bardzo była podobna do osoby którą oficer zobaczył w oknie. Uprzedził jednak panią *** iż zapewnie usiądzie przy nich pewien pan od dawna bardzo zakochany w jej córce.

Jakoż zaledwie usiadły w krzesłach, sąsiad ich zaczął wzdychać gwałtownie, i prawie pożerał oczami mniemaną Julią; nie dość na tem chciał ująć jej rękę, mówiąc: „Och, Julio! jakże ja cię kocham! Powóz czeka na nas przed teatrem i z łatwością będę mógł cię wykraść.“

Lecz na zuchwało - romantyczne oświadczenia, panna odpowiedziała mu głośno że jest impertynent i że nie zna go wcale. Nazajutrz oficer przyszedł do pani *** z przeproszeniem: „Przychodzę, rzekł, wytłomaczyć się paniom; stałem się ofiarą ohydnej mistyfikacyi... proszę powiedzcie mi panie kto wam doręczył bilety na wczorajsze przedstawienie?

— Pan X. odpowiedziała pani *** która zaczęła się coś domyślać.

— Ha! więc to sprawka pana X! rzekł kłaniając się przybyły; dobrze, zobaczymy; raz jeszcze najmocniej przepraszam panie. I odszedł.

Udał się do policyi ze skargą na pana X; ten został zawezwany, ale gdy opowiedział całą historyą, prefekt tak się naśmiał iż bezkarnie puścił winowajcę.

Bohater tej przygody jest dziś dyrektorem orkiestry w jednym z wielkich teatrów wiedeńskich.

(*d. c. n.*)

Korespondencya z Londynu.

Posiedzenia Izb. — Nowy element w społeczeństwie angielskiem.—Bezrobocie i tajemne fundasze. — Angielscy „Communards.“ — Szczepienie ospy uważane za nader szkodliwe i zgubne.—Niebezpieczeństwo zbytniego oddawania się gimnastyce, pływaniu i innym podobnym ćwiczeniom. — Ostatni Stuart'owie.— Książę Karol Sobieski uważany za prawowitego monarchę Wielkiej Brytanii. — Dzieło doktora Doran „Londyn za czasów Jakobitów.“— Pamiętniki wicehrabiego Melbourne, przez Torrens'a. — Życie Tytusa Salt. — Ferma o pięciu kominach, p. miss Hoppus. — Dzieci natury, hrabiego de Desart. — Tajemnica Haselburst'u, mis Lloyd. — Salomon Isaacks, p. Forjeon.—Zimowa wystawa malarstwa w Akademii królewskiej.—Nowości teatralne.

(Dalszy ciąg).

Czytając te pamiętniki lorda Melbourne, napisane z taką sumiennością i zamiłowaniem prawdy, jakiemi odznacza się znakomity autor, niepodobna nie litować się nad tym mężem tak wielkim jako człowiek publiczny, a tak maluczkim w prywatnem życiu. Na swoje nieszczęście, lord Melbourne wybrał sobie za małżonkę kobietę nie mogącą w żaden sposób zapewnić szczęścia człowiekowi zajętemu sprawami publicznemi, dźwigającemu ciężką odpowiedzialność za zarząd wielkim krajem. Lady Karolina Ponsomby była bardzo piękna, posiadała niby wiele przymiotów moralnych nader pożądanych w kobiecie, ale cóż kiedy przy tem wszystkiem tak dziwne miała usposobienie. iż w świecie w którym mąż jej najpierwsze zajmował stanowisko, uważano ją co najmniej za półwaryatkę; mimo to jednak tak była piękną i powabną, iż przebaczano jej wybryki które każdego innego męża niż lord Melbourne, wystawiłyby na pośmiewisko. Lady Karolina szalenie ale platoniczną miłością zakochała się w Byron'ie, pisała doń niezliczoną liczbę od i sonetów, i bez żadnej pokrywki puszczała je w świat podpisanem swojem nazwiskiem, co przez lat kilka z kolei dostarczało Londynowi wątku do drwinek i śmiechu. Całe „próżniacze towarzystwo“ londyńskie, wyglądało co chwila jakiej skandalicznej przygody, nigdy jednak do niej nie przyszło. Lady Karolina poprzestawała na tem iż czas jakiś pisywała do ukochanego wiersze, a nareszcie romans którego bohatera i bohaterkę każdy poznawał odrazu. Romans ten nie jest pozbawiony pewnego wdzięku; przebija w nim szczera namiętność; a choć zanadto słyszymy dźwięk harfy, chęć za często spotykamy się tam z bladawem światłem księżyca i wietrzykiem wieczornym, przewyższa jednak znacznie wartością inne podobne ówczesne utwory. Biedny lord Melbourne drżał z obawy za każdym objawem wesołego humoru swej żony, gdyż były zawsze zapowiedzią napadów jakby obłąkania.

Pewnego razu lord dawał wielki obiad z powodu zebrania się Parlamentu; goście zebrani w salonie zaczęli sobie myśleć że już za długo czekają, a lady Karolina, która zwyczajem przyjętym w Anglii, gdzie kobiety nie biorą nigdy udziału w podobnych uroczystościach, nie miała być na tym obiedzie, zajrzawszy do sali jadalnej, zaczęła narzekać że zastawa i przybory stołu są za nizkie. Najpierw tedy kazała probować z kolei różnych zastaw srebrnych, ale wszystkie jakoś nie trafiały jej do gustu, więc tedy lekko wskoczyła na stół i stanęła na samym środku w postawie przestraszonej nimfy, oznajmiając że tak pozostanie przez cały obiad. Prośby i przełożenia nie pomogły, aż marszałek dworu musiał iść po milorda, który zaledwie siłą zdołał skłonić milady do opuszczenia tak niewłaściwego piedestału. Zaczęła krzyczeć i płakać głośno, a goście przez cały obiad słyszeli jej łkania i wrzaski.

Zmęczony podobnemi scenami, lord Melbourne zmuszony był nieraz uciekać z domu, brałocztę i pędził do swego pałacu w Brocket-Hall; jak tylko lady Karolina wyśledziła gdzie szuka schronienia, pędziła za nim, wpadała wśród nocy jak uragan, przychodząc prosić o przebaczenie. Jeźli nie chciał się z nią widzieć, kładła się na dywanie przed drzwiami pokoju, w którym się zamknął, i jęcząc żałośnie powtarzała że tak pozostanie całą noc na ziemi. Przez długie lata tak smutnego pożycia, lord Melbourne umiał zachować godność swoją, i nigdy nie ściągnął na siebie ani nagany ani śmieszności, nawet w opinii swych największych nieprzyjaciół, dając tem samem najwymowniejszy dowód panowania nad sobą, tej „self controll“ tak wielce cenionej przez Anglików.

Ówcześni nowiniarze mylnie zapewnie przypisywali dobrowolne wygnanie, na jakie skazał się lord Byron, szalenie romansowej miłości dla niego lady Karoliny, to jednak pewna że po wyjeździe wielkiego poety do Misshemgii, uspokoiła się, zamieszkała na wsi zupełnie samotnie, nie troszcząc się o świat ani o męża, który w tym czasie stanął u szczytu godności i zaszczytów. Pewnego dnia, lady Karolina, wyjechała jak zwykle dla przejechania się: jechała gościńcem, gdy wtem stangret jej musiał zjechać na bok, ustępując przed wzpaniałym karawanem i długim szeregiem jadących za nim powozów. Lady Karolina wychyliła głowę oknem karety, zapytując czyj jest tak okazały pogrzeb. „Lorda Byrona, którego zwłoki sprowadzono z Grecyi“ odrzekł kamerdyner zmarłego, siedzący w pierwszym powozie za karawanem. Dopiero powiedziawszy to poznał lady Karolinę, i widział że zbladła okropnie i opadła na siedzenie. Orszak pogrzebowy przeszedł, lady Karolina powróciła do domu, i odtąd nie wyjeżdżała już wcale. Świat prędko zapomniał o niej, i tylko gdy umarła, dziwiono się że tak długo żyła. Lord Melbourne umarł także w Brocket-Hall, w 1852 r. Na jakiś czas przed śmiercią usunął się od życia politycznego i stare lata poświęcił na badaniu klasyków starożytnych, których tak miłował w młodocianych latach. Żył czynnem życiem męża stanu i patryoty, umierał jak mędrzec w samotności i kontemplacyi przyrody, szczęśliwy że znalazł nareszcie spokój w pośród milczących przyjaciół zapełniających jego bibliotekę, a z przeszłości tego tylko żałując że tak długo był z nimi rozłączony.

Z dziedziny biografii nie możemy pominąć jednej jeszcze książki p. t. *Sir Tytus Salt, jego życie i przykład*, p. wielebnego Balganice. Któż nie chciałby zostać milionerem, kto nie chciałby nauczyć się łatwego sposobu dojścia do tego celu? Za wyborny do tego wzór może służyć życie Tytusa Salt. Mówiono o nim powszechnie w Bradford, gdzie się osiedlił, że zanim jego współzawodnicy mieli czas obuć pantofle, on codziennie zarobił już tysiąc f. szterlingów. Całe życie jego świadczy wymownie do czego dojść można działalnością i pracą; nie ma w nim jednak żadnego wątku do romansu lub poezyi. Nie wyszedł z wioski w bluzie i w sandałach, aby zbogaciwszy się w zakładach fabrycznych lub w kuźniach, zostać mężem politycznym. Ojciec jego nie był bogatym, cieszył się jednak pewnym względnym dostatkiem; zajmował się gręplowaniem wełny, i gdy Tytus miał lat siedmnaście, posłał go do Wakefield aby się wydoskonalił w jego rzemiośle. Wkrótce potem rodzina Tytusa przeniosła się do Bradford, które to miasto zawdzięcza mu taki rozwój i pomyślność, jakiej nie przedstawiają dzieje żadnego rękodzielniczego miasta w Europie. Gdy młody Tytus doszedł do pełnoletności, ojciec zrobił go swoim wspólnikiem, i wkrótce zakład ich był najpierwszym w Bradford. Kolosalny swój majątek, Tytus Salt zawdzięcza odkryciu niezrównanych przymiotów wełny alpaga, ale gdyby był nie potrafił zebrać i zaoszczędzić kapitału niezbędnego do eksploatowania swego odkrycia, nie byłby umierał posiadaczem kilku milionów funt. szterlingów. Gdy w roku 1836 Tytus Salt wszedł do składu doków w Liverpool, zwrócił uwagę na kilkanaście pak wełny krótkiej, czarnej, szarej i brudnej, przywiezionej na okręcie płynącym z Melbourne, w Australii, paki te miały zostać zwrócone wysełającemu, gdyż nikt kupić ich nie chciał. Tytus Salt wziął próbę pogardzonej wełny i wróciwszy do siebie probował poddawać ją różnym sposobom oczyszczania. Nazajutrz wrócił do doków i za bezcen kupił cały zapas wełny. Ojciec zarzucał mu nierozwagę, i na pozór słusznie, gdyż żadna z podówczas używanych maszyn nie nadawała się do gremplowania tej twardej i szorstkiej wełny; jednak pomimo złowrogich przepowiedni, Salt wyszedł zwycięzko z tej próby, obmyślił odpowiednie maszyny i olbrzymie odnosił zyski. Liczył lat 46 gdy dorobił się tak kolosalnej fortuny na drodze przemysłu, jakiej nikt przed nim nie posiadł. Zawsze zamierzał sobie iż gdy dojdzie lat pięćdziesięciu, porzuci handel i będzie żyć spokojnie z procentu od majątku,! lecz zostawszy posiadaczem licznych fabryk i zwierzchnikiem kilku tysięcy robotników, nie miał serca opuścić tych biedaków, uważając że Bóg powierzył ich jego pieczy, i zamiast spokojnie używać bogactwa, pracował więcej niż kiedykolwiek, a to jedynie w celu polepszenia losu swych pracowników. Wszystkie fabryki i warsztaty Bradfordskie leżały w złem i niezdrowem położeniu, i nie miały dostatecznej ilości czystego powietrza. Tytus Salt powziął myśl tak wielką i śmiałą, jaka może nigdy nie powstała w niczyjej głowie. Postanowił przenieść wszystkie fabryki na dolinę roztaczającą się pod miastem, wśród rozkosznej wioski nad wybrzeżami Airy, i połączyć je pod jednym zarządem administracyjnym. I oto jak powstało miasto Saltaire. Stanęły w niem przepyszne gmachy publiczne, kościoły dla wszystkich wyznań, szerokie ulice, piękne i wygodne domy, zamieszkałe

przez kilka tysięcy robotników; jest tam także prześliczny park i ogród publiczny. Dziś Saltaire słynie w całym świecie, jako niespożyty pomnik mądrości, szlachetności i filantropii jego założyciela.

(d. n).

Gawędy naukowe.

Eskimosy w Paryżu. — Ich pochodzenie. — Sposób życia. — Mieszkania, broń, sprzęty i łodzie.

Niepodobna w łatwiejszy i przyjemniejszy sposób uczyć się entonografii jak przez zwiedzanie Paryzkiego Ogrodu Aklimatyzacyjnego (Jardin d'acclimatation). Uczony i gorliwy dyrektor tego tak pożytecznego zakładu, p. Geoffroy Saint-Hilaire, zrozumiał że studya nad plemionami ludzkiemi mogą pociągnąć i żywo zainteresować inteligentniejszą część publiczności, korzysta zatem ze wszelkich sposobności ażeby przedstawić. wraz ze zwierzętami na które polują, i samychże ludzi rozmaitych ras tak bardzo od naszej się różniących. Wczoraj Paryżanie zawdzięczali jemu zapoznanie się z Nubijczykami plemienia Bedjas, dziś mogą z jego łaski oglądać i studyować Eskimosów; wczoraj podziwiano wpółnagich z pod równika Afrykanów, dziś z najdalszych stref Hyperborejskich przybywają Eskimosy cali okryci skórami. Ludzie światowi z wdzięcznością oceniają jego zabiegi i pracę, ludzie nauki korzystają z nich dla studyów swoich.

Eskimosy, o których mowa, począwszy od Listopada całą zimę tam przepędzają. Jest to rodzina złożona z dwojga dzieci i czworga dorosłych osób. Pochodzi ona z Jacobshawn, małej stacyi duńskiej na zachodnim brzegu Grenlandyi, położonej nieco na południe od wyspy Disco, będącej środkowym punktem Skandynawskich posiadłości w krajach podbiegunowych. Rodzinę składają: mąż i żona, pan i pani Okabak, młodzieniec noszący imię Koyangi, metis z Duńczyka i Eskimoski nazywający się Jokkik, i dwie dziewczynki: jedna roczna druga czteroletnia, córeczki państwa Okabaków. Wszyscy oni są wzrostu bardzo małego, ale krępi i silni: ich szerokie, miedzianego koloru twarze, ożywione czerwonemi, biegającemi oczkami, noszą wyraz łagodności i dobrego humoru. Nie zbywa im zresztą na pewnym stopniu ukształcenia, wszyscy czytać i pisać umieją; jeden z nich posiada nawet i studyuje gramatykę duńską. Przywieźli z sobą kilku młodych białych niedźwiedzi w mocnej klatce zamkniętych, kilka fok, które puszczono do wielkiej sadzawki dla ptastwa wodnego w ogrodzie przeznaczonej i z której zdają się być zadowolone: a nadto jeszcze i kilka owych zmyślnych psów podbiegunowych, które w Grenlandyi, Kamczatce i Labradorze, jako zwierzęta pociągowe służą. Wystawili oni sobie w ogrodzie dwa mieszkania zimowe i zaopatrzyli we wszystkie sprzęty u nich używane. Można więc oglądać w Paryżu, próbki tych mieszkań do ostatecznych warunków pierwotnej prostoty ograniczonych. Przywieźli także z sobą dwie łodzie, mnóstwo odzieży z rozmaitych skór wyrobionej, narzędzia myśliwskie oraz i do rybołówstwa służące, wiele rozmaitych drobnych przedmiotów miejscowego wyrobu i t. p.

Wszyscy oni z wyjątkiem metisa Jokkika, wybornie przedstawiają typ rasy Eskimosów, o której jednak kilka słów warto powiedzieć: Wiecznemi lodami okryte kraje podbiegunowe są zamieszkane przez kilka ras ludzkich wyraźnie między sobą różnych, chociaż często odznaczają je pod ogólną nazwą ras hyperborejskich. Pochodzenie ich, tych szczególnie które osiadły na europejskich i azyatyckich brzegach oceanu Lodowatego, dotychczas oznaczyć się nie daje. Z nich najdokładniej wyróżnia się rasa eskimoska, która właściwie amerykańskiego jest pochodzenia i osiadła nad brzegami oceanu od cieśniny Behringa aż do wschodniej Groenlandyi, mała część tej rasy na azyatyckiej stronie tejże cieśniny zamieszkująca, nosi nazwę Tczuchczów, trudniących się rybołówstwem, których nie należy brać za jedno z Tczuchczami pasterzami, w głębi lądu osiadłemi, należącemi do rasy zbyt jeszcze mało znanej, ale od rasy eskimoskiej zupełnie różnej. Z tem wszystkiem Eskimosy są rasą prawie wyłącznie amerykańską, ale zkąd zaszła ona w te lodowate, niegościnne okolice, w których obecnie ją widzimy, i gdzie wyraźnie nie jest miejscową, niewiadomo zgoła. Czy wyszła z Azyi, jak utrzymują niektórzy, czy z północnej Ameryki została wypartą przez energiczniejsze plemiona, jak dowodzą drudzy; to tylko są hypotezy żadnemi dowodami nie poparte. Nawet język ich, będący jedną z najważniejszych wskazówek pochodzenia, w niczem się nie zbliża do któregobądź z języków starego lub nowego lądu. Pod względem zaś fizycznym, Eskimosy uważani są za jedną z ras najczyściejszych, gdyż oprócz małej liczby metysów w sąsiedztwie osad skandynawskich, inne krzyżowania nigdzie widzieć się nie dają.

Nie mogąc rozwiązać kwestyi co do ich pochodzenia, należy jednak mniemać, i na to są już niejakie dowody, iż przedtem zajmowali oni część lądu amerykańskiego bardziej ku południowi, a przeszli do Groenlandyi nie w tak dawnych stosunkowo czasach, przynajmniej w okolice przez osady skandynawskie zajęte. Wiadomo iż Groenlandya została odkrytą przez *Vikinga* czyli islandzkiego króla morza, Eryka Czerwonego, pod koniec X wieku, i że on wraz z towarzyszami założył tam osady, które do tego stopnia się rozszerzyły, iż po przyjęciu przez Islandyą wiary chrześciańskiej, utworzono osobne biskupstwo dla Groenlandyi. Otóż pieśni i tradycye jakie po sobie zostawili ci osadnicy, nic nie wspominają o tuziemcach, jakby zupełnie ich nie było, przynajmniej południowej Grenlandyi. Dopiero w 1379 roku jest wzmianka o napadach Eskimosów na północne osady skandynawskie, oraz o starciach które coraz krwawszemi się stawały, a że od połowy XV wieku Groenlandya została od Europy zapomnianą, musieli więc ci osadnicy sami sobie zostawieni, w części wyginąć, a w części zlać się z najezdcami. Pomiędzy legendami Eskimosów zebranemi przez p. Rink, dawnego duńskiego dyrektora do spraw groenlandzkich, znajduje się kilka do tych wypadków widocznie się odnoszących.

Eskimosy są wzrostu małego; antropolog angielski p. Sutherland, zmierzywszy trzydziestu trzech mężczyzn dorosłych, podaje wzrost ich przecięciowy na 1 metr 58 centymetrów. Znakomity podróżnik Kotzebue, znacznie jeszcze mniejszym go określa. Trzej dorośli mężczyźni Ogrodu Aklimatyzacyjnego nie dochodzą cokolwiek pierwszej miary. Powierzchowność zaś ich zupełnie się zgadza z opisem antropologa D-ra Topinard, który tak jest dokładny że dość powtórzyć jego słowa: Eskimosy są wzrostu małego, krępi, o ramionach szerokich, głowach wielkich, członkach grubych, z kończynami jednak małemi i kształtnemi. Ich twarze są szerokie i spłaszczone aż do zaklęśnięcia; policzki pełne, o kościach bardzo wydatnych: nosy szerokie, małe i zaledwo cokolwiek wystające, oczy niewielkie, czarne, bardzo głęboko osadzone; zęby regularne ale za młodu starte aż do dziąseł przez używanie ich przy wyprawianiu skór. Włosy mają kruczej czarności, długie i twarde, ale nie gęste; zarostu na brodzie prawie żadnego. Używają pokarmu czysto zwierzęcego, czego zresztą okropny klimat północny koniecznie wymaga, a więc ryby, mięso i tran foków służą wyłącznie za pożywienie tej rasy, której nazwa pochodzi od słowa *Eskimantsik*, wyrażenia pogardliwego, jakim Indyanie Czerwoni plemienia Algonkwinsów oznaczają swych północnych sąsiadów i nieprzyjaciół, a które dosłownie znaczy: „jedzący surowe ryby". Sami zaś Eskimosi nazywają siebie *Innouit* co znaczy po prostu „ludzie."

(d. n.)

Przegląd literacki.

Ateny, przez Wojciecha Dzieduszyckiego. Lwów 1878.

(Dokończenie).

Natomiast w ostatnim rozdziale VI autor w sposób niezmiernie zajmujący opowiada własną swą podróż do Aten 1874 r. i wykazuje, co pozostało dziś jeszcze z ruin świetnej przeszłości w każdem po szczególe miejscu, które oglądaliśmy w poprzednich rozdziałach w całym blasku i rozkwicie. Szkielet Partenonu (Świątyni Ateny), świątynie Tezeusza i Erechteusza, Propyleje czyli świetny przedsionek akropolu, kilka kolumn ze świątyni Jowisza, resztki teatru wystawionego przez Heroda Attyka za czasów rzymskich, wreszcie wieża wiatrów i w kilku miejscach kupy gruzów tam, gdzie niegdyś były mury Temistoklesowe, łączące miasto z odległym o 3 mile portem pirejskim, oto wszystko, co dwadzieścia kilka wieków, ręka czasu i barbarzyńskie zniszczenia przez rozmaite narody (Turków, Wenecyan i t. d.) dokonane oszczędziły z cudownego grodu Pallady Ateny. Niezmiernie ciekawym i pierwszym, jaki zdarzyło się nam napotkać, jest opis starożytnych zabytków, przechowanych w świątyni Tezeusza. Na stromej czarnej skale, zasianej skorupami, ulicznik ateński przypomniał autorowi, że stoi na miejscu dawnego areopagu. O teraźniejszych Grekach autor wyraża się niekorzystnie; odmawia im nawet pochodzenia z krwi starożytnych Hellenów, utrzymując że są to raczej potomkowie niewolników rozmaitych narodowości, którzy przechowali tylko język Greków, aczkolwiek skażony, dowód zaś ztąd czerpie, że wszyscy Grecy nowożytni są bruneci i śniadej cery, a starożytni Hellenowie, podług autora, byli po większej części jasnowłosymi. Na to ostatnie twierdzenie, w obec wyraźnych świadectw pisarzy starożytnych i zabytków sztuk pięknych (np. naczyń malowanych) zupełnie zgodzić się nie możemy. Pozostają również nieco wątpliwemi inne zdania autora, z poglądami dotychczasowemi uczonych niezgodne, jak np. zdanie, jakoby budynki w dawnych Atenach były przeważnie drewniane, dość lekceważący sąd o tragedyach Eschylosa, niemniej uwłaczający wyrok o ucztach ateńskich i toczonych w czasie nich rozmowach (jak te np. które podają nam Ksenofon i Platon w dziełkach p. t. Symposion) i t. d. Na szczególną za to uwagę i zaznaczenie zasługuje słuszny pogląd autora, prostujący powszechnie przyjęte zdanie o demokracyi ateńskiej: w gruncie rzeczy, owa demokracya, nawet przy Peryklesie i później, była zawsze arystokracyą, gdyż władza należała wyłącznie do obywateli miasta, z pominięciem nietylko niewolników, ale i mieszkańców wiejskich Attyki (meteków). Była to więc demokracya taka, a może jeszcze i bardziej wyłączna, jak polska rzeczpospolita szlachecka, a więc w gruncie mało różniła się od urządzeń Sparty, gdzie także tylko klasa oby-

watelska posiadała prawa cywilne i polityczne. W duchu więc urządzeń ateńskich i spartańskich nie było tak rażącego przeciwieństwa, jak to wmawiają w nas dawne podręczniki szkolne; szkoda tylko, że autor nie zajął się głębiej tym przedmiotem.

Ten zarzut prowadzi nas i do innych zarzutów, które musimy uczynić autorowi, po poprzedniem uznaniu zalet i wartości jego pracy.

Głównym jest, w naszych oczach, brakiem to, że autor zupełnie prawie pominął Sokratesa i jego ucznia, boskiego Platona i nie przytoczył próbki rozmów tych mędrców z uczniami, tak ważnych w dziejach cywilizacyi Grecyi i całej ludzkości i nie wprowadził w ogóle czytelnika w grono wielkich mężów epoki Peryklesa, wymieniając ich tylko czasem dorywczo. Pod tym względem już stare dziełko Barthélemego — Anacharsys — ma pierwszeństwo przed pracą naszego autora. Drugi zarzut, który po części już wzmiankowaliśmy powyżej, jest ten, że autor nie zestawił należycie ducha jońskich Ateńczyków z duchem doryckich Spartan — nie wyświetlił zgubnego przeciwieństwa obojga, które jednak dobitniej wystawiłoby wszystkie światła i cienie obu plemion spółzawodniczych. Po trzecie, nadmieniliśmy również powyżej, że autor mówiąc o starożytnych Atenach czasem bywa zapalonym entuzyastą i optymistą, a czasem, wprost przeciwnie, pesymistą, dość np. zestawić to, co autor mówi o nadużyciach w czasie uczt (str. 164—466) z zapewnieniem, zaprawdę mało wiarogodnem i zbyt optymistycznem, jakoby nocne obrzędy panatenejskie były wolne od wszelkich nadużyć, (str. 199). Po czwarte, nasz autor, chociaż w przedmowie zarzuca dziełu Bekkera nieprzyzwoitość, nie szczędzi w swem dziele rysów dość, a nawet zbyt jaskrawych (np. str. 20, 25, 116, 166), które sprawiają, że książkę jego, chociaż w ogóle napisaną popularnie i przystępnie, trudno polecić młodzieży. Po piąte, autor porusza, zdaniem naszem, bez potrzeby w podobnem dziele, niektóre kwestye sporne i zawikłane, których niepodobna rozstrzygnąć bez użycia całego zasobu suchej erudycyi, jak np. kwestyą o pochodzeniu Pelazgów, o podziale Ateńczyków na fratrye i demy i t. p. Co do Pelazgów, których autor jeszcze, opierając się na kilku znanych ustępach z Herodota, uważa za lud odrębny, uczeni (Curtius i inni) zgadzają się uznawać ich za tych samych Hellenów w pierwotnym nierozwiniętym jeszcze stanie cywilizacyi. Po szóste, trafiają się u autora mniej lub więcej rażące usterki, pomyłki i anachronizmy, tak np. wbrew podaniom, głównym bohaterem wojny trojańskiej jest u niego Agamemnon nie zaś Achilles (str. 2); lwy, wyobrażone na bramie myceńskiej, nazywa *herbem* (sic) Atrydów (str. 3); twierdzi, że Cekrops w podaniach greckich nie był autechtonem (str. 13), wówczas gdy rzecz ma się odwrotnie, bo nawet wystawiano Cekropsa w postaci węża, a wąż był symbolem autechtona, pierwotnego mieszkańca, który sam powstał z ziemi, Pazifae nie była matką Minosa (str. 31,) lecz jego żoną; u autora Prokne staje się jaskółką, a Filomela słowikiem (str. 46), wówczas gdy podług najlepszych źródeł, (np. Tucydydes II. 29), mytologia uznawała, odwrotnie, słowika za Proknę, a jaskółkę za Filomelę; porównywanie Pelazgów „raczej do łacinników niż do Hellenów“ (str. 53) dowodzi małego obeznania autora z wynikami porównawczej mytologii i lingwistyki ludów aryjskich i w ogóle autor zgoła nie korzysta z wyników tej nauki, tak ważnej dla dziejów pierwotnych aryjskiego szczepu, jak to widać jeszcze i z tego, że imię *Helena* błędnie tłómaczy wyrazem *Greczynką* (niby od wyrazu Hellen-Grek, na str. 56), co jest wbrew przeciwne zasadom fonetycznym: autor nie wie iż dziś już nie podlega wątpliwości, że imię *Helene* zupełnie jest równoznaczne z wyrazem *Selene*, po grecku oznaczającym *księżyc*, tak że Helena, to bajeczna osobistość, bogini księżyca co potwierdza jeszcze i pokrewieństwo jej z Kastorem i Polluxem (gwiazdami). Na str. 70 mówi autor, że w dawnych czasach wraz po przywitaniu gospodarz zapytywał gościa kim jest, wówczas gdy wiadomą jest (np. z Odyssei) rzeczą, że gościnność nakazywała pierwiej nakarmić i napoić gościa, a już potem zadawać mu powyższe pytanie; gdzieindziej (str. 168) autor kilkakrotnie nazywa *inkaustami*, malowidła greckie nieznanym nam sposobem wykonywane, wówczas gdy nazywały się one *enkaustycznemi* (od *enkaio* wypiekam); Eurypidesa nazywa synem praczki (str. 253), a wiadomo dostatecznie, choćby z komedyi Arystofanesa, że był on synem przekupki warzyw (lachanopolis) i t. d.

Co się tyczy formy, oprócz bezładnego częstokroć ugrupowania zarysów i powracania do tych samych opisów i szczegółów, najważniejszy zarzut tyczy się niepoprawności języka. Pod tym względem, niestety, praca p. Dz. nie przyczynia się wcale do naprawienia złej sławy wszelkich wydawnictw galicyjskich. Nie mówiąc już o tem, że prawdziwy znawca greczyzny nie powinien używać skażonych wymową niemiecką imion własnych jak Eszyl (zam. Eschylos i Eszyn (zam Eschines), a jedno i drugie napotykamy u autora stale — ilość błędów stylowych elementarnych, a nawet gramatycznych, na każdej stronicy jest przerażającą. Oto przykłady. W *Tiryns* (str. 1 zam. w Tirynecie). Wojna *medycka* (str. 3 zam. *medyjska*). Późnego wieku *doczekują* (str. 8 zam. *dochodzą*, gdyż *doczekać się*, jako słowo dokonane, czasu teraźn. mieć nie może). Lwy pożarły *wielbłądów* (str. 62, zam *wielbłądy*. Chowa klejnoty i *złota* (str. 73). *Sfinga* zam. utartego *sfinks*; w *jednym ręku* zam. w *jednej ręce*; z marmuru *a* nie ze złota, zam. nie *zaś* ze złota; wszystko na str. 131). Mniej krwi na niem *jak* na pierwszem (zam. *niż* str. 187). Kapłanka szukała *coś* (zam. *czegoś* str. 190). Nie uważał *to* zam. *tego*; ci, *którzy szesnasty rok minęli* zam. *którym* minął; patrzali z zazdrością na przyszłą Aten *obietnicę*, zapewne zam. *nadzieję* (wszystko na str. 192)! *Wola* zam. *wolu* (tamże i wszędzie). Wiosła pospiesznie *porały* błękit morza; archont wraz z żoną oczekiwali *wszystkie procesye; znaczni* (odznaczający się) berłem; mak odbijał *o biały włos* zam. *od białego włosa* (wszystko na str. 194. *Przenica* (pszenica str. 194 i wszędzie; *weszedł* (str. 196 i inne). *Pieczystą* zam. *pieczystem* (str. 197). *Międziudkie* zam. *mięciutkie* (str. 242). Nie wyłączam *ruiny* Rzymu zam. *ruin* str. 272) i wiele innych.

L. Sz. W.

Korespondencya z Paryża

o ubiorach wiosennych.

W magazynach tutejszych ruch dość znaczny: przewodniczki podobnych pracowni z całej niemal Europy zjeżdżają się do tej stolicy świata, aby przypatrzeć się nowościom i wszelkie upięknienia w przystroju kobiecym poznać bliżej i przyswoić je swoim wyrobom. Rozpatrywaliśmy je wraz z pannami Kuhnke z prawdziwą przyjemnością, tak wiele pomiędzy niemi wytwornego smaku i tej nie dającej się opisać elegancyi, jaką Paryż słusznie się zaleca. Zdamy więc z przeglądu naszego pobieżne sprawozdanie i opiszemy niektóre modele nabyte przez panny Kuhnke, które nie każdy mieć będzie sposobność do obejrzenia.

Moda tegoroczna upodobała sobie barwy blade, niewydatne; do najwięcej używanych tak na kapelusze jak na suknie należą dwa kolory: *beige* i *mastique*, oba szare, z tą różnicą że pierwszy wpada więcej w orzechowy, drugi w dziko popielaty. Kolor oliwkowy w różnych odcieniach nie wyszedł także z mody. Wstążki do ubrania kapeluszy, zazwyczaj atłasowe, mają niekiedy żywszy kolor, np. jasno niebieski lub ciemno *caroubier* czyli mondurowy. W formie kapeluszy wielka panuje rozmaitość; w ogólności noszą je więcej nasunięte na czoło niż w roku zeszłym. Kapelusze wiązane pod brodą, tak kształtem jak i sposobem ubrania, odróżniają się zupełnie od okrągłych.

Po tych ogólnych uwagach, przystępujemy do szczegółowego opisu.

Kapelusz wiązany od pani Seguin, z cienkiej słomy brukselskiej, ma główkę podłużną, rondko odwinięte, podbite aksamitem ciemno *caroubier*. Nad rondem przeciągnięta wstążka atłasowa tegoż koloru, w trzech odcieniach; końce do wiązania ciemne; na karczku kokarda jasna. Z boku wpięty bukiet z maków, koloru *mastique*, z szaremi listkami.

Drugi kapelusz od pani Raymond, także ze słomy brukselskiej. Od ronda spadają na tył głowy pukle ze wstążki atłasowej, koloru *mastique* w dwóch odcieniach. Rondo odwinięte, pokrywa je girlanda z liści *mastique*. Końce z podobnych wstążek do wiązania pod brodą. Na boku bukiecik z pączków różanych z liśćmi; drugi bukiecik pomieszczony nad karczkiem.

Trzeci czarny koronkowy także od pani Raymond. Brzeg ronda nagarnirowany koronką złotą; galon złoty stanowi podpięcie. Nad rondkiem wielki bukiet z aurekli i rezedy. Z po za bukietu spadają na karczek pukle z czarnej wstążki atłasowej — takież same szarfy służą do wiązania.

Inny kapelusz czarny koronkowy, ma brzeg ronda naszyty lawowemi perłami. W pośrodku wielki bukiet z róż pomieszanych z lawą. Na karczek spadają pukle z czarnej wstążki. Szarfy koronkowe dopełniają ubrania.

Piąty kapelusz od pani Karoliny Rebense, słomkowy, koloru *beige*, ma rondko wycięte á la *Marie Stuart*, podbite aksamitem ciemno *caroubier*. Wstążki do wiązania *beige* atłasowe, nad rondem bukiet z bzu białego.

Szósty słomkowy w kolorze złotawym, rondko proste nieodwinięte; nad niem girlanda z trawki oliwkowo-złotawej; od główki do przodu odwinięte trzy pióra w tym kolorze; szarfy z takiejże wstążki.

Siódmy słomkowy popielaty w odcieniu srebrnym. Rondo podniesione w górę, podbite czarnym aksamitem; w koło główki rulon aksamitny, od środka spadają na tył głowy pukle ze wstążki popielatej, ujęte w srebrny pierścień, przytwierdzone poniżej bukiecikiem ciemnych wisien. Po bokach dwa skrzydełka srebrno-popielate przystające płasko do główki. Szarfy popielate.

Ósmy kapelusz ze słomy brukselskiej, ubrany wstążką w pięciu kolorach: różowym, niebieskim i trzech szarych do cieniu. Końce niebieskie, wielki bukiet z szarych liści nad rondem.

Dziewiąty czarny słomkowy z wplecionym brzeżkiem złotym; na wierzchu wielka alzacka kokarda, z wstążki czarnej atłasowej, ze spodem złotego koloru. Z boku bukiet róż.

W okrągłych kapelusikach wielka panuje rozmaitość; jedne mają rondka spuszczone, inne podniesione w koło, lub z jednej strony. Dajemy tu szczegółowy ich opis.

Kapelusik ze słomy koloru *beige*; rondko spuszczone, objęte rulonem aksamitnym; w koło główki girlanda z drobnych kwiatów w tymże samym kolorze. Na wierzchu kokarda ze wstążki w kolorach *beige* i ciemno *caroubier*. Wstążki przechodzą na tył, przytwierdzone do główki; odtąd dzielą się, po dwa końce na obie strony.

Drugi okrągły toczek, czarny słomkowy, z małem wywinięciem, objęty aksamitem czarnym. W koło główki ułożona biała materya w plisy, z boku takiż węzeł prze-

pięty złotemi szpilkami. Z drugiego boku wielki bukiet białej konwalii.

Trzeci kapelusik słomkowy, koloru *mastique*. Główka śpiczasta: rondko odwinięte w górę z jednego boku, podbite aksamitem koloru *caroubier*. Z przodu wielka kokarda ze wstążki koloru mastique. W koło idzie girlanda z liści mastique; od tyłu spadają pukle ze wstążki *caroubier*.

Czwarty ze słomy koloru *beige*, dosyć wysoki, opasany gazą tegoż koloru; takiż welon przechodzi do koła. Z boku cztery skrzydełka, przepięte puklem gazy. Rondko podbite aksamitem czarnym.

Zwróciły uwagę naszą zgrabne czepeczki dla osób starszych z białej blondyny hiszpańskiej, przybrane wstążką atłasową w dwóch odcieniach.

Ładny też czarny tiulowy czepeczek, w formie okrągłej, zasiany cały w kółko ze złotych perełek, ma nad czołem wielką kokardę atłasową, przypiętą złotemi szpilkami.

Do rannego ubrania, podobał nam się bardzo czepeczek muślinowy w formie chusteczki, ogarnirowany maliną, nad garnirunkiem idzie wielka kokarda ze wstążki w dwóch kolorach, mirtowej i blado-niebieskiej.

Dla młodych mężatek uważaliśmy ładne kokardy na głowę, z wstążki morowej czarnej, pomieszanej z koronką. W pośrodku wpięta złota strzałka. Także sama kokarda wpina się poniżej kołnierzyka.

W kołnierzykach widać też rozmaite odmiany. Mnóstwo ich zabrały panie Kuhnke na model, zacząwszy od wielkich, wyłożonych w formie chusteczki, ogarnirowanych koronką, do małych płóciennych w nowej zupełnie formie, z brzeżkiem w około odwiniętym. Podobał nam się szczególniej kołnierz duży z batystu, przeszywany koronkowemi wstawkami, obszyty do koła koronką; u szyi dodany drugi mały kołnierzyczek, pod którą podwłoczy się wstążka albo krawatka. Mankiety do tego odpowiednie, kładą się na wierzch sukni. Są w tym rodzaju kołnierze płócienne, przeszywane koronką *torchon* ze stosownemi mankietami.

Co do okrywek wiosennych, najmodniejsze w tym roku *wizytki* z kaszmiru lub materyi czarnej, ubierane pasmanteryą, zakończone frendzlą fryzowaną lub pomieszaną z dżetem.

Uważaliśmy też mantylki z kaszmiru indyjskiego, zwane *mantille-echarpe*, z tyłu idą prosto, z przodu zaokrąglone. W koło dana frendzla jedwabna, u szyi fryza z koronki.

Przejdźmy wreszcie do sukien a raczej kostiumów wiosennych. Na ulicę noszą je w tym roku wcale nie powłóczyste, sięgające tylko do ziemi. Oto opis czterech kostiumów.

Pierwszy koloru *mastique*, w dwóch odcieniach, składa się z materyi jedwabnej i jaśniejszego wyrobu wełnianego. Spódniczka jedwabna ma u dołu plisowanie z materyi, powyżej takież plisowanie wełniane. W koło spódniczki idzie falbanka jedwabna. W tylnych brytach dana draperya z wełnianego wyrobu. Kaftanik do tego wełniany; z pod otwartych przodów widać jedwabną kamizelkę. Rękawy jedwabne zakończone mankietem wełnianym.

Drugi kostium koloru *beige* ma spódnicę jedwabną z szeroką wodą u dołu. Na to idzie poloneza jaśniejsza, wełniana; tworząca z przodu krzyżowaną draperyą i rodzaj kaftana. Z tyłu dwie takież klapy spadają na spódnicę. Na staniku chusteczka wełniana objęta materyą. Rękawy zakończone wodą u ręki.

Trzeci kostium dla młodej osoby jasno popielaty wełniany, na spódniczce jedwabnej w ciemniejszym odcieniu. Z przodu długi *tablier*, z tyłu jeden bryt ułożony w podłużne, drugi w poprzeczne fałdy. Stanik wełniany, ubrany plisowaną materyą, z wielkim jedwabnym kołnierzem, spiętym na takąż kokardę. Rękawki wełniane obcisłe, mankiet do nich podobny. Spódniczka u dołu zakończona jedwabnym wolancikiem.

Czwarty kostium czarny z materyi i kaszmiru. Spódnica wełniana ma szeroką plisowaną falbanę. Na wierzch idzie długie *vêtement*; przód u niego jedwabny gładki, poniżej przemarszczony w poprzecz. Tylne bryty z kaszmiru, zarówno jak i plecy; boczki jedwabne; od nich ciągnie się szeroka plisa, otaczająca w koło tylne bryty. Rękawy kaszmirowe obcisłe; mankiet do nich jedwabny.

Korespondencya z Włocławka.

Daruj mi szanowny Redaktorze jedną szpaltę pisma w której opowiem na jak pięknej stopie stanęło miasteczko nasze. Wśród szerzącej się biedy, gdy szermierka o kęs chleba łamie niejednego na smutnej arenie życia, gdy brak pracy i posucha pieniężna gaszą częstokroć jedyne światełko wiary, gdy rąk wiele niezdolnych do prośby o jałmużnę, opada bezmyślnie, a umysł popada w apatyą, w Włocławku utworzyły się towarzystwa mające być dźwignią nędzy jawnej i ukrytej, i poparciem młodych pragnących nauką przysposobić się na użytecznych członków społeczności.

I tak: utworzył się komitet odczytów naukowych w których przyjęli udział pp. Boczkowski aptekarz, Mieczkowski doktór, Dobieczyński adwokat, Erenkrejtz obrońca, Matuszewski profesor i Samkowski rejent. Odczyty odbywają się w teatrzyku miejscowym, a dochód z nich przeznaczono na ubogą kształcącą się młodzież.

Dalej znów: grono amatorów i amatorek daje przedstawienia sceniczne na różne piękne cele, a w dniu 24 Marca grano na wsparcie nędzy wstydzącej się żebrać, bez względu na stan i wyznanie. Piękny ten pomysł zawdzięcza miasto pani Teofili Rc... która z całą poczciwą chęcią i żywą energią zajmuje się przedstawieniami amatorskiemi, własnym przykładem zachęcając panie nasze do poświęcenia i współudziału.

Roku zeszłego 1877 w miesiącu Sierpniu, otworzoną została pensya żeńska czteroklasowa pod przewodnictwem młodej ochmistrzyni panny Aleksandry Hecker, byłej uczennicy Instytutu Petersburskiego. O nowo założonym pensyonacie nie głosiły dzienniki, szumne reklamy nie płynęły z obietnicami złotych gór a klasy zapełniały się uczennicami tak dalece, że liczba pensyonarek tak stałych jak przychodnich dochodzi setki. Nic dziwnego? Pensya panny Hecker odrazu na wymagalnej stanęła stopie. Kilka dzieweczek sierotek znalazło w niej sposób kształcenia się bezpłatnie, rozwijając się przy sercu młodej mistrzyni jak kwiaty wiośniane pod światłem ciepłej i różowej jutrzenki.

Posądzone o frymarkę i materyalizm miasto nasze, ma stronę piękną którą, za łaską twoją Redaktorze publicznie ukazuję tym, co myślą że sąsiedztwo germanizmu pokonało słowiańskie przekonania nasze. Jako żywo nieprawda! Po za szczelnie ukrytemi kapitałami, po za workami zboża spławianemi z pól naszych, kantorami i wekslami, są ludzie co serce nie kamień w piersiach noszą.

Paulina Biernacka.

Nowe wydawnictwa.

Z teki wiejskiego szlachcica, dziełko jednotomowe wydane nakładem księgarni Gubrynowicza i Szmidta we Lwowie. W pierwszej części mieszczą się Aforyzmy bardzo starannie ułożone, pełne rozumnych i trafnych uwag i porównań ściągających się do spraw i życia ludzkiego: drugą zapełniono utworami poetycznemi małych rozmiarów, mogącemi być śmiało nazwanemi także aforyzmami. Cena rs. 1 kop. 10.

Dzieł Karola Szajnochy, wyszedł tom dziesiąty, obejmujący, Dwa lata dziejów naszych (dokończenie). Żywot Karola Szajnochy przez Klemensa Kanteckiego. Nakład i druk Józefa Ungra. Cena za każdy ton rs. 2, za przesyłkę kop. 20, dla prenumeratorów Tygodnika Illustrowanego, cena ta zmniejszona do połowy. Oprawa ozdobna ze złoconemi wyciskami za tom kop. 40 z przesyłką pocztową kop. 50.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu M. Ch. w Pliskowie. Dzieło p. t. O rozbiorze chemicznym przez Frühlinga i Schultza nie jest jeszcze przetłomaczone. W oryginale kosztuje rs. 40 kop. 40.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 5 (17) Апрѣля 1878-г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).